Twoja obecność w pustym domu

Nie szuka kogoś do pomocy. Szuka miejsca na siebie



Laura Bellini

Twoja obecność w pustym domu

Nie szuka kogoś do pomocy. Szuka miejsca na siebie

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384903933

ALL-IN Rafał Płonkowski

SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki otwartych drzwi 11
Rozdział 2 - Miejsce przy stole 21
Rozdział 3 - Rzeczy, których nie da się przesunąć 32
Rozdział 4 - To, czego nie zapisujemy 42
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 53
Rozdział 6 - Bliskość, na którą się zgadzamy 63
Rozdział 7 - Pomiędzy słowami 73
Rozdział 8 - Po drugiej stronie jego świata 83
Rozdział 9 - Ryzyko wspólnego stołu 94
Rozdział 10 - Wieczór bez pośpiechu 104
Rozdział 11 - Nie wszystko musi być wspólne 114
Rozdział 12 - Cena niedopowiedzeń 123
Rozdział 13 - Cudze oczekiwania 135
Rozdział 14 - Prawda bez obietnic 145
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedzieliśmy 155
Rozdział 16 - Cisza, która ma znaczenie 166
Rozdział 17 - Własny wybór 175
Rozdział 18 - Nie wystarczy powiedzieć przepraszam 184
Rozdział 19 - Miejsce dla dwojga 194
Rozdział 20 - Dom, do którego chce się wracać 204

INTRO

Pierwszego dnia, kiedy naprawdę zostałam sama w domu, zepsułam zamek w drzwiach pokoju, który miał być wyłącznie mój.

Nie zrobiłam tego ze złości. Przynajmniej nie świadomie. Po prostu przekręciłam klucz zbyt mocno, usłyszałam nieprzyjemny trzask i zostałam z mosiężną główką w dłoni. Reszta tkwiła w zamku, jakby dom postanowił wyrazić swoją opinię na temat moich planów.

— Doskonale — powiedziałam do pustego korytarza. — Zaczynamy od szczerości.

Miałam pięćdziesiąt lat, dwójkę dorosłych dzieci mieszkających już na własny rachunek i pracę, którą kochałam wystarczająco mocno, żeby nie nazywać jej ucieczką. Od dwudziestu trzech lat zajmowałam się konserwacją mebli. Potrafiłam odróżnić ślady dawnej naprawy od pierwotnego połączenia drewna, przywrócić życie zniszczonej politurze i cierpliwie pracować nad jednym fragmentem intarsji przez kilka dni. Nie umiałam natomiast odpowiedzieć znajomym na pytanie, co zamierzam robić z całym domem, skoro dzieci się wyprowadziły.

Odpowiedź była przecież prosta.

Zamierzałam wreszcie w nim zamieszkać.

Nie tylko spać, gotować, prać i pamiętać o wszystkich terminach. Chciałam zajmować przestrzeń bez konieczności uzasadniania tego potrzebami innych ludzi. W pokoju po córce zaplanowałam małą pracownię do precyzyjnych napraw. Pokój syna miał zostać biblioteką, w której nikt nie

odkładałby hantli na książki. A dawną jadalnię, dotąd używaną głównie podczas rodzinnych uroczystości, postanowiłam otworzyć na sąsiedzkie spotkania z książką.

Ten ostatni pomysł nie oznaczał, że znów chciałam wszystkim organizować życie. W moim zamyśle ludzie mieli przynosić własne książki, własną herbatę i własne krzesła, jeśli zabraknie miejsc. Ja udostępniałam przestrzeń, nie siebie na każde wezwanie.

Przynajmniej tak brzmiał plan zapisany w nowym notesie.

Telefon zawibrował na parapecie.

Regina, kochana, czy na pierwsze spotkanie mogłabyś przygotować coś słodkiego? — napisała pani Halina z sąsiedniej ulicy. Masz takie zdolne ręce!

Spojrzałam na wiadomość, potem na urwany klucz.

Przez lata wystarczyło, że ktoś nazwał mnie zaradną, a już brałam na siebie kolejne obowiązki. Zdolne ręce oznaczały naprawę, przygotowanie, posprzątanie, dopilnowanie. Tymczasem moje ręce chciały dziś trzymać papier ścierny, nie blachę z ciastem.

Odpisałam, że każdy może przynieść coś od siebie.

Przeczytałam wiadomość trzy razy, zanim ją wysłałam.

Za oknem zaczynało się październikowe popołudnie. Nasza ulica pod Poznaniem wyglądała spokojnie, niemal sennie. Mokre liście przyklejały się do chodnika, a za płotami unosił się zapach dymu z kominków. Dom stał na końcu krótkiego szeregu podobnych budynków, ale przez dwadzieścia lat był tak pełen głosów, że nigdy nie zastanawiałam się nad jego akustyką. Teraz słyszałam każde skrzypnięcie schodów.

Zeszłam do jadalni, zabierając notes i miarkę. Na środku pokoju stał dębowy stół po moich rodzicach. Miał porysowany blat, jedną nieco ciemniejszą nogę i piękną, solidną konstrukcję. Nie zamierzałam go wymieniać. Przy oknie czekał pusty regał, kupiony za niewielkie pieniądze od likwidowanej biblioteki szkolnej. Wymagał oczyszczenia, wzmocnienia dwóch półek i poprawienia pleców.

Uwielbiałam takie przedmioty. Nie udawały, że nigdy nic im się nie przydarzyło.

Rozłożyłam miarkę, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Na ganku stał mężczyzna, którego widywałam czasem po drugiej stronie ulicy. Kojarzyłam siwiejące włosy, ciemny płaszcz i zwyczaj chodzenia z książką wetkniętą pod ramię. Był wysoki, ale nie próbował wykorzystywać wzrostu, żeby dominować nad rozmówcą. Stał pół kroku od drzwi, jak człowiek gotowy uszanować odmowę.

— Regina Chmiel? — zapytał.

— Zależy, kto pyta.

Uśmiechnął się powoli.

— Mirosław Borek. Mieszkam pod siedemnastką. Halina powiedziała, że organizuje pani spotkania z książką.

— Powiedziała również, że robię ciasta?

— Nie. Uprzedziła, że może pani nie lubić niezapowiedzianych gości.

— W takim razie pierwszy raz przekazała coś dokładnie.

Zaśmiał się cicho. Miał niski głos, z delikatną chrypką, która sprawiała, że nawet zwykłe zdania brzmiały jak część dłuższej rozmowy. Nie przyglądał mi się nachalnie. Zerknął na miarkę w mojej dłoni, potem na otwarte drzwi do jadalni.

— Przyniosłem propozycję — powiedział, pokazując cienką teczkę. — Ale mogę wrócić, jeśli przeszkadzam.

Miałam ochotę odpowiedzieć, że przeszkadza. Nie dlatego, że naprawdę tak było. Po prostu pierwszy raz od dawna dzień należał wyłącznie do mnie, a ja jeszcze nie wiedziałam, jak się go broni.

— Pięć minut — zdecydowałam.

Wszedł, wytarł dokładnie buty i zatrzymał się na progu jadalni. Zobaczyłam, że ogląda regał, lecz nie komentuje jego stanu. Dopiero po chwili podszedł bliżej.

— Piękny mebel — powiedział.

— Jest krzywy.

— To nie wyklucza piękna.

Odwróciłam głowę. Mężczyźni, których znałam, zazwyczaj zaczynali od pytania, czy nie potrzeba pomocy przy ciężkich rzeczach. On patrzył na pusty regał tak, jakby wyobrażał sobie książki, które kiedyś w nim staną.

— Jest pan stolarzem?

— Tłumaczem. Z drewnem radzę sobie znacznie gorzej niż ze słowami. Ale rozpoznaję rzecz, której ktoś nie wyrzucił tylko dlatego, że przestała wyglądać idealnie.

Nie wiedziałam, dlaczego to zdanie mnie zatrzymało. Może chodziło o sposób, w jaki je wypowiedział, bez próby zrobienia wrażenia. A może o fakt, że od dawna nikt nie mówił przy mnie o niedoskonałości bez sugestii, że trzeba ją natychmiast usunąć.

Mirosław położył teczkę na brzegu stołu.

— Pani Halina zbiera chętnych do sąsiedzkich spotkań. Pomyślałem, że moglibyśmy zrobić coś więcej niż

jednorazowy wieczór. Niewielki klub czytelniczy, może wymianę książek. Ja mógłbym się zająć tekstami, wyborem lektur, kontaktem z ludźmi.

— A ja pomieszczeniem, herbatą, sprzątaniem i pilnowaniem, żeby wszyscy byli zadowoleni?

Spojrzał na mnie uważniej.

— Tego nie powiedziałem.

— Wiem. Takie rzeczy rzadko trzeba mówić.

Przez moment milczał. Nie wyglądał na urażonego, raczej na kogoś, kto zastanawia się, gdzie w pozornie zwyczajnej rozmowie postawił niewłaściwy krok.

— Ma pani rację, że powinniśmy ustalić obowiązki — odparł w końcu. — Nie przyszedłem szukać gospodyni.

— A kogo?

Otworzył usta, ale odpowiedź nie przyszła od razu.

To zawahanie zainteresowało mnie bardziej niż przygotowana teczka.

— Kogoś, kto chciałby współdecydować — powiedział wreszcie.

Popatrzyłam na pusty regał, a potem na jego dłonie spoczywające spokojnie na blacie. Nie przesuwał moich notatek, nie próbował zaglądać do notesu. Stał w cudzym domu i pozostawiał mi prawo określenia odległości między nami.

— Pięć minut minęło — zauważyłam.

— Wiem.

Nie ruszył się jednak, dopóki nie wskazałam drzwi. Wtedy zebrał teczkę bez pośpiechu.

— Mogę zostawić numer telefonu? — zapytał. — Nie musi pani teraz podejmować żadnej decyzji.

Podałam mu długopis. Napisał numer na odwrocie czystej kartki i położył ją obok miarki. Jego pismo było niewielkie, równe, z charakterystycznie otwartą literą „a".

Przy wyjściu zauważył uszkodzony zamek w drzwiach na piętrze.

— Kłopot? — zapytał.

— Mój — odpowiedziałam.

Skinął głową.

— Rozumiem. Do widzenia, pani Regino.

Kiedy zamknęłam za nim drzwi, poczułam osobliwy niedosyt. Nie próbował mnie przekonać. Nie zaoferował naprawy zamka, nie zapewnił, że wszystko będzie prostsze, jeśli pozwolę mu działać. Zostawił jedynie propozycję, która mogła mi się spodobać albo nie.

Wróciłam do jadalni. Na stole leżała kartka z numerem, obok mój plan rozrysowany co do centymetra. Przez okno zobaczyłam Mirosława przechodzącego przez ulicę. Zatrzymał się przy starszej sąsiadce, podniósł jej rozsypane z torby jabłka, a potem oddał torbę i poszedł dalej. Nie czekał na podziękowania.

Przesunęłam kartkę bliżej notesu.

Pragnęłam domu, w którym nikt nie będzie potrzebował ode mnie więcej, niż sama zechcę dać. A jednak po raz pierwszy od wielu tygodni cisza nie wydawała mi się wyłącznie nagrodą.

Stałam przy pustym regale, trzymając w palcach numer człowieka, którego właściwie nie znałam, i zadałam sobie pytanie, na które nie miałam jeszcze odwagi odpowiedzieć:

Czy potrafiłabym wpuścić kogoś do swojego życia, nie oddając mu przy tym miejsca, które dopiero zaczynałam odzyskiwać?

Rozdział 1 - Warunki otwartych drzwi

Nazajutrz rano odkryłam, że najtrudniejsze w odzyskiwaniu własnego życia nie jest podejmowanie decyzji. Najtrudniejsze jest znoszenie faktu, że inni ludzie również mają własne pomysły.

Pani Halina zadzwoniła o ósmej siedemnaście, kiedy właśnie nakładałam pierwszą warstwę politury na odnowione krzesło. Telefon odebrałam łokciem, ponieważ obie dłonie miałam zajęte, a urządzenie leżało na parapecie warsztatu. Rozmówczyni nie traciła czasu na powitania.

— Reginko, mamy już osiem osób! A właściwie dziewięć, bo pani Teresa chce przyprowadzić siostrę. Pomyślałam, że skoro zaczynamy, warto zrobić to porządnie.

Słowo „porządnie" wypowiedziane przez Halinę zawsze oznaczało, że ktoś inny będzie miał dużo pracy.

— To świetnie — odpowiedziałam ostrożnie. — Ale ustalałyśmy, że najpierw porozmawiamy o zasadach.

— Właśnie dlatego zwołałam małe zebranie. Dzisiaj o siedemnastej. U ciebie, oczywiście, bo tam przecież ma być nasza biblioteczka.

Zatrzymałam rękę z tamponem.

— Zwołałaś zebranie w moim domu, nie pytając mnie o zgodę?

— Och, nie mów tego takim tonem. Przecież sama wyszłaś z inicjatywą.

Spojrzałam na krzesło. Ciemny orzechowy kolor odzyskiwał głębię, a drobne rysy powoli znikały pod moimi palcami. Przy pracy z drewnem lubiłam przewidywalność.

Każda czynność miała następstwo, każdy błąd pozostawiał ślad, który można było zrozumieć. Z ludźmi bywało inaczej. Potrafili zmienić twoją propozycję w zobowiązanie, zanim zdążyłaś dokończyć zdanie.

— Halino, spotkanie może się odbyć, ale nie będę przygotowywała przyjęcia. I o siedemnastej muszę skończyć pracę.

— Wspaniale. Wiedziałam, że się zgodzisz.

Rozłączyła się, zanim zdążyłam sprecyzować, na co właściwie się zgodziłam.

Przez chwilę stałam bez ruchu. Potem odłożyłam tampon, umyłam ręce i wyjęłam notes. Na czystej stronie zapisałam wielkimi literami: „MOJE ZASADY NIE SĄ PROŚBĄ".

Nie było to szczególnie eleganckie zdanie, ale przyniosło mi ulgę.

O siedemnastej w jadalni siedziało sześć osób, dwie stały przy oknie, a pani Halina z entuzjazmem rozstawiała filiżanki, które sama wyjęła z mojego kredensu. Przyniosła makowiec, pani Teresa kruche ciasteczka, a pan Antoni, emerytowany nauczyciel historii, pojawił się z torbą książek i przekonaniem, że bez klasyki literatury polskiej całe przedsięwzięcie nie ma sensu.

Mirosław Borek przyszedł ostatni.

Nie miał na sobie płaszcza, który zapamiętałam z poprzedniego dnia. Granatowy sweter i jasna koszula sprawiały, że wyglądał mniej oficjalnie, a zarazem bardziej interesująco. Siwe pasma przy skroniach podkreślały wyrazistość twarzy. Przywitał się ze wszystkimi, lecz mnie skinął głową osobno, jakby pamiętał, że to ja decyduję, czy jest mile widziany.

— Przyniosłem tylko siebie — powiedział cicho, kiedy podawałam mu krzesło. — Uznałem, że to bezpieczniejsze niż kolejna teczka.

— Zależy, co pan ma w głowie.

— Niestety, znacznie więcej niż w teczce.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

Halina klasnęła w dłonie.

— Kochani, zaczynamy! Regina udostępnia nam swój cudowny dom, Mirek zna się na książkach, a ja zajmę się organizacją. Myślę, że spotkania w każdą środę będą idealne.

— Zanim ustalimy środę, chciałabym coś wyjaśnić — powiedziałam.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku mnie.

Nie byłam osobą nieśmiałą. Prowadziłam własną działalność, negocjowałam ceny z klientami, potrafiłam odmówić wykonania nieodwracalnej naprawy nawet bardzo wpływowemu kolekcjonerowi. A jednak przy stole pełnym sąsiadów poczułam znajome napięcie. Tu nie chodziło o kompetencje. Chodziło o to, czy wolno mi być mniej wygodną, niż inni oczekiwali.

— Chcę, żebyśmy stworzyli miejsce do rozmów o książkach — zaczęłam. — Ale to nadal mój dom. Nie będzie otwarty bez ograniczeń. Spotkania mogą odbywać się dwa razy w miesiącu, nie co tydzień. Każdy uczestnik będzie odpowiadał za porządek po sobie. Nie planuję gotowania ani przygotowywania poczęstunków dla całej grupy.

Halina uniosła brwi.

— Reginko, przecież nikt nie zamierza cię wykorzystywać.

— Właśnie dlatego nie powinno być problemu z ustaleniem zasad.

Zapadła cisza.

Mirosław siedział naprzeciwko mnie. Nie uśmiechał się. Obracał w dłoniach długopis, ale gdy spotkał moje spojrzenie, odłożył go na stół.

— Regina ma rację — powiedział. — Tylko proponowałbym pójść o krok dalej.

Przygotowałam się na sprzeciw.

— Słucham.

— Jeśli ma to być wspólne przedsięwzięcie, nie możemy opierać go wyłącznie na prywatnym domu jednej osoby. Potrzebujemy zasad, które pozwolą projektowi przetrwać również wtedy, gdy gospodyni będzie chciała wyjechać, pracować albo zwyczajnie zamknąć drzwi.

Zabrzmiało to rozsądnie. Zbyt rozsądnie, bym mogła od razu zaprotestować.

— Co pan proponuje?

— Niewielki zespół organizacyjny. Trzy osoby, rotacyjnie odpowiedzialne za spotkania. Możemy zacząć tutaj, ale powinniśmy od początku szukać drugiej lokalizacji, choćby sali udostępnianej przez osiedlowe stowarzyszenie.

Halina wyglądała na rozczarowaną.

— Ale tutaj jest tak przytulnie.

— Właśnie dlatego łatwo pomylić czyjąś gościnność ze stałą usługą — odpowiedział Mirosław.

Przyjrzałam mu się uważniej.

Mógł po prostu poprzeć moje warunki. Zamiast tego postawił własny, trudniejszy: jeśli chcieliśmy stworzyć coś

wspólnego, musieliśmy od początku podzielić się odpowiedzialnością. A to oznaczało, że nie będę mogła samodzielnie decydować o wszystkim, co wydarzy się w ramach projektu.

— Nie chcę, żeby ktoś urządzał mi dom — powiedziałam.

— I nikt nie powinien. Ale jeżeli to będzie klub sąsiedzki, pozostali muszą mieć prawo współtworzyć jego program. Inaczej będziemy gośćmi na pani prywatnych wieczorach.

— Nie brzmi pan jak człowiek, który łatwo zgadza się na cudze zasady.

— Zależy, czy zostały rozsądnie ustalone.

W jego głosie pojawiła się nuta rozbawienia.

— A moje są nierozsądne?

— Nie. Są konieczne. Tylko jeszcze niekompletne.

Nie pamiętałam, kiedy ostatnio ktoś sprzeciwił mi się w sposób, który nie budził we mnie potrzeby natychmiastowej obrony. Mirosław nie próbował wygrać rozmowy. Interesowało go rozwiązanie, nawet jeśli wymagało ode mnie ustępstwa.

Pan Antoni pochylił się nad stołem.

— Czy moglibyśmy zdecydować, co właściwie będziemy czytać? Bo jeśli zaczniemy od organizacji, to do grudnia nie otworzymy żadnej książki.

Wybuchł śmiech, który rozładował napięcie.

Przez następne czterdzieści minut rozmawialiśmy o szczegółach. Teresa zaproponowała wymianę książek, Antoni krótkie wprowadzenia do wybranych autorów, a młodsza sąsiadka, Marta, chciała stworzyć prostą grupę

internetową. Halina, odzyskawszy entuzjazm, zgłosiła się do zbierania propozycji terminów.

Mirosław notował ustalenia na kartce, lecz co jakiś czas pytał mnie o zdanie. Nie robił tego demonstracyjnie. Po prostu pamiętał, że każde rozwiązanie dotyczące domu wymaga mojej zgody.

Kiedy rozmowa zeszła na regał, pani Teresa zaproponowała, że jej szwagier może go szybko pomalować na biało.

— Nie — odpowiedziałam zbyt gwałtownie.

Wszyscy zamilkli.

Podeszłam do mebla i przesunęłam dłonią po jego bocznej ściance.

— To jest stary regał z litego drewna. Ma drobne uszkodzenia, ale zachował oryginalną powierzchnię. Biała farba zakryłaby wszystko, co stanowi o jego charakterze. Mogę go odnowić, tylko potrzebuję czasu.

— Oczywiście — powiedziała Teresa, wyraźnie speszona. — Chciałam pomóc.

— Wiem. Przepraszam za ton.

Mirosław wstał i podszedł bliżej.

— Ile czasu?

— Kilka dni, jeśli nie będę miała innych zleceń.

— A jeśli będą?

— Wtedy dłużej.

— Doskonale. Pierwsze spotkanie możemy zorganizować bez gotowego regału.

Spojrzałam na niego.

— Nie przeszkadza panu niedokończone wnętrze?

— Przeszkadzałoby mi raczej, gdyby ktoś zniszczył dobry mebel tylko po to, żeby zdążyć na czwartek.

Przez ułamek sekundy byliśmy zbyt blisko, żeby rozmowa miała wyłącznie zawodowy charakter. Poczułam zapach jego perfum, dyskretny, z nutą cedru i czegoś cytrusowego. Mirosław cofnął się pierwszy, pozostawiając mi przestrzeń.

Zrobił to tak naturalnie, że dopiero po chwili uświadomiłam sobie własne rozczarowanie.

Po zakończeniu zebrania sąsiedzi zaczęli zbierać naczynia. Halina próbowała jeszcze ustalić menu następnego spotkania, ale Marta przypomniała jej nasze uzgodnienia. Obserwowałam to z cichą satysfakcją. Po raz pierwszy ktoś inny pilnował granic, które wyznaczyłam.

Mirosław został przy stole, porządkując notatki.

— Chciałabym zobaczyć, co pan zapisał — powiedziałam.

Podał mi kartkę.

Na górze widniało: „Spotkania z książką — projekt wspólny". Poniżej wypisał propozycje terminów, zakres obowiązków i pytania wymagające decyzji. Przy moim nazwisku nie było słowa „gospodyni". Zamiast tego napisał: „Regina — przestrzeń, wyposażenie, decyzje dotyczące domu".

Przy swoim nazwisku umieścił: „Mirosław — program, kontakt z uczestnikami, dokumentacja".

— Jest pan bardzo uporządkowany — zauważyłam.

— To zawodowe skrzywienie. Tłumacz, który nie pilnuje znaczeń, może narobić sporo szkód.

— A człowiek, który zbyt mocno pilnuje znaczeń?

— Czasem nie zauważa, co ktoś próbuje powiedzieć między słowami.

Spojrzał na mnie, a potem zamknął notes.

Nie wiedziałam, czy to była uwaga o nim, o mnie, czy o nas obojgu.

— Nie lubię niespodzianek — powiedziałam.

— Zauważyłem.

— I nie zamierzam rezygnować z pracowni ani zmieniać planów tylko dlatego, że komuś spodobał się mój dom.

— Nie oczekuję tego.

— A jednak proponuje pan coś, nad czym nie będę miała pełnej kontroli.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Tak. Bo wspólnota zaczyna się tam, gdzie kończy się wyłączność jednej osoby na podejmowanie decyzji. Ale pani dom pozostaje pani domem. To dwie różne rzeczy.

Mówił spokojnie. W jego głosie nie było śladu pobłażliwości. Właśnie to sprawiało, że chciałam dyskutować dalej, zamiast zakończyć rozmowę.

— Ma pan zawsze gotową odpowiedź?

— Nie. Wczoraj na przykład nie miałem.

Przypomniałam sobie jego zawahanie, kiedy zapytałam, kogo właściwie szuka.

— Dzisiaj też nie na wszystko — dodał.

Uśmiechnęłam się.

— To może być początek rozsądnej współpracy.

— Brzmi jak niezwykle ostrożna pochwała.

— Proszę się przyzwyczaić.

Odprowadziłam go do drzwi. Na progu zatrzymał się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Przez krótką chwilę widziałam w jego twarzy niepewność, której wcześniej nie okazywał.

— W sobotę mam wolne popołudnie — zaczął. — Moglibyśmy omówić szczegóły programu. Bez całej grupy łatwiej będzie ustalić, czego oboje oczekujemy.

— W sobotę pracuję.

— Rozumiem.

Nie zapytał, o której skończę. Nie zaproponował, że przyjdzie do warsztatu. Zamiast tego sięgnął po płaszcz.

Ta powściągliwość była uprzejma, ale niespodziewanie mnie zirytowała.

— W niedzielę po szesnastej mam czas — powiedziałam.

Odwrócił się.

— Niedziela mi odpowiada.

— Tylko sprawy organizacyjne.

— Oczywiście.

Miał ten rodzaj uśmiechu, który nie odbierał słowom powagi, lecz sprawiał, że nabierały dodatkowego znaczenia.

Kiedy odszedł, przez chwilę stałam przy drzwiach, nasłuchując oddalających się kroków. Nie czułam się jak kobieta, która właśnie zgodziła się na kolejne sąsiedzkie zobowiązanie. Raczej jak ktoś, kto otworzył niewielkie okno w pokoju, w którym od dawna było za duszno.

Następnego dnia zadzwoniła moja córka, Natalia.

— Mamo, słyszałam od pani Haliny, że organizujesz jakiś klub książkowy. Podobno wszyscy są zachwyceni.

— Wszyscy oprócz mnie, kiedy próbują ustalać mój grafik.

Natalia roześmiała się.

— Czyli wszystko po staremu.

Zamilkłam.

— Nie, kochanie. Właśnie próbuję zrobić coś inaczej.

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza.

— To dobrze — powiedziała w końcu. — Naprawdę dobrze.

Rozmawiałyśmy jeszcze o jej pracy, nowym mieszkaniu i planach weekendowych. Kiedy się rozłączyłyśmy, wróciłam do jadalni. Na stole nadal leżały notatki Mirosława. Wzięłam je do ręki i przeczytałam ponownie.

Przy dolnym marginesie dopisał zdanie, którego wcześniej nie zauważyłam: „Żadne spotkanie nie jest ważniejsze niż prawo gospodarza do własnego czasu”.

Nie wiedziałam, czy zapisał je dla mnie, czy dla siebie.

Wiedziałam natomiast, że w niedzielę zamierzam go o to zapytać.

Wieczorem próbowałam czytać, ale co kilka stron wracałam myślami do rozmowy przy regale. Nie do jego twarzy, choć bez trudu potrafiłam ją sobie przypomnieć. Nie nawet do głosu, który miał w sobie dziwną miękkość, kiedy przestawał argumentować.

Myślałam o tym, że nie próbował mnie potrzebować.

A może właśnie dlatego zaczynałam chcieć, żeby znów przyszedł.

Rozdział 2 - Miejsce przy stole

W niedzielę o piętnastej czterdzieści pięć stałam przed lustrem w sypialni i zastanawiałam się, dlaczego wybór swetra urósł nagle do rangi problemu.

Miałam przecież spotkać się z sąsiadem w sprawie klubu książkowego. Nie umawiałam się na randkę, nie planowałam romantycznej kolacji i nie zamierzałam robić wrażenia na mężczyźnie, którego znałam od kilku dni. Mimo to odłożyłam szary golf, ponieważ wydawał mi się zbyt surowy, i wybrałam miękki, bordowy sweter z szerokim dekoltem.

Potem uznałam, że sam fakt zastanawiania się nad tym jest niedorzeczny.

Na szczęście nikt nie mógł mnie z tego rozliczyć.

Mirosław zadzwonił punktualnie o szesnastej. Tym razem przyniósł papierową torbę i niewielką książkę w granatowej okładce.

— Zanim pani zaprotestuje, nie ma tu niczego, co wymaga przygotowania — powiedział na powitanie.

Zajrzałam do torby. Dwa kawałki sernika w pudełku i herbata liściasta.

— Przyniósł pan poczęstunek?

— Przyniosłem deser dla dwóch osób. To zasadnicza różnica.

— Widzę, że potrafi pan wykorzystać każde sformułowanie na swoją korzyść.

— Tłumacze bywają niebezpieczni.

Wpuściłam go do środka.

Nie zaproponowałam od razu kawy. Najpierw zaprowadziłam go do jadalni, gdzie na stole rozłożyłam plan pomieszczenia, listę potrzebnych materiałów i szkic ustawienia mebli. Zobaczyłam, że przygląda się wszystkiemu z autentycznym zainteresowaniem.

— Przygotowała pani projekt — powiedział.

— Lubię wiedzieć, dokąd zmierzam.

— A ja lubię wiedzieć, z kim idę.

Podniosłam wzrok znad rysunku.

— To miało być spotkanie organizacyjne.

— I właśnie organizacyjnie próbuję zrozumieć, jak pani pracuje.

Nie miałam pewności, czy żartował. W jego twarzy pojawił się jednak cień uśmiechu, który podpowiadał, że doskonale zdaje sobie sprawę z dwuznaczności własnych słów.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Mirosław wyjął notes, a ja otworzyłam mój, ten sam, w którym dwa dni wcześniej zapisałam deklarację o własnych zasadach. Na szczęście nie zajrzał na pierwszą stronę.

— Chciałabym, żebyśmy ustalili konkretny cel — zaczęłam. — Nie interesuje mnie klub, który po trzech spotkaniach zamieni się w obowiązkowe przyjęcia towarzyskie.

— Zgoda. Proponuję sześć spotkań próbnych. Dwa w miesiącu, po dziewięćdziesiąt minut. Każde z wyznaczoną osobą prowadzącą. Po trzech miesiącach sprawdzimy, czy ludzie rzeczywiście chcą kontynuować.

— A jeśli nie?